№ 7. Warszawa, dnia 2 (14) Lutego 1895 r. Rok XXXI.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**
EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Kobieta w Stanach Zjednoczonych.

Kwestya niewieścia, tak spokojnie rozwijająca się u nas, zaczyna przybierać na Zachodzie, coraz ostrzejsze zarysy. Wobec postępów jej w latach ostatnich, nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż stanowić ona będzie jedno z trudnych zagadnień, pozostawionych do rozwikłania następnemu stuleciu. Wiek XX-ty, biorąc w spuściźnie po swym rodzicu wiele doniosłych zdobyczy naukowych i humanitarnych, odziedziczy wraz z niemi głuche wrzenie walki socyalnej, w której błędnem kole kwestya kobieca staje się—w Anglii szczególniej—jednym z widocznych czynników.

Dla niewtajemniczonych w tamtejsze stosunki polityczne i społeczne, twierdzenie to może się wydawać zbyt śmiałem. Słabe echa walki niewieściej, dochodzące do nas z Zachodu, nie zwracają tu niczyjej uwagi. Tak przywykliśmy do tego, iż „kwestya kobieca“ ogranicza się u nas na pojedynczych przykładach wyższego wykształcenia dla bardzo zdolnych jednostek, oraz na cichej, skromnie wynagradzanej pracy dla szarego tłumu, pozbawionego ogniska a potrzebującego dachu i chleba, iż nie wierzymy prawie, aby tłum ten usiłował gdzieindziej prawa dyktować. Tymczasem, brak chleba właśnie zmusił go do tego. Anglia jedna posiada 896.723 kobiet, więcej niż mężczyzn, a więc około miliona istot skazanych z góry na bezżeństwo, brak rodziny i własnego domowego ogniska. Ponieważ równocześnie nie każdy mężczyzna żenić się chce a wielu bardzo, w skutek złych warunków ekonomicznych i słabego uposażenia, żenić się wcale nie może, ostatni więc *census* rządowy, za rok 1893, wykazuje tam 9.000.000 kobiet niezamężnych, z których trzy miliony pracuje w przemyśle samym.

Dziewięć milionów istot ludzkich, to już armia, z którą państwo liczyć się musi. Skłoniły je do tego kobiety brytańskie, związawszy się w ścisłą organizacyę mnóztwa stowarzyszeń, które gęstą siecią opasały Anglię całą, walcząc o prawa do pracy i nauki, o opiekę państwową, o przywileje społeczne i polityczne. Kampania prowadzona na wszystkich punktach, podtrzymywana ogniem tyralierskim prasy, oraz regularnem oblężeniem twierdz takich, jak konstytucya państwowa i parlament, dokonała swego. Dokonała być może dla tego, iż córy Albionu walczyły wyłącznie w imię światła, dobra i prawdy, w imię rodziny i podniesienia moralnego jej poziomu, w imię idei humanitarnych, pokoju i sprawiedliwości. Walka ich wnosiła zawsze, w bagnisko powikłań społecznych czysty pierwiastek etyczny, przemawiała w imię słabych i bezbronnych, w imię dziecka, kobiety i rodziny.

Ta cecha dodatnia, stała się jej siłą moralną. Kobieta angielska dowiodła społeczeństwu swemu, iż uzbroiwszy owe miliony istot niezamężnych w wiedzę stosowną i dopuściwszy je do wszelkich dziedzin ruchu społecznego, podniesie jego poziom a zarazem uszlachetni cały zakres życia publicznego, udelikatni, uduchowni poniekąd brutalność walki o byt, rozwielmożniającej się coraz bardziej. Chodziło przytem z jednej strony o zużycie dla państwa i dobra ogółu sił, gnuśniejących dotąd bezczynnie, z drugiej, o wpływ matek wysoko wykształconych na wychowanie synów.

Próba dokonaną została. Rząd Wielkiej Brytanii wyasygnował w ostatnich latach miliony na wyższe wykształcenie kobiet. Przy starych wszechnicach w Cambridge, Oksfordzie i Londynie założono specyalne internaty i kollegia uniwersyteckie dla dziewcząt, czyniąc wszystko, aby tylko ułatwić im zdobycie wiedzy i nauki. Wśród zakładów tych, zyskały już sobie zasłużoną sławę: w Cambridge kolegia Gialon i Newham, (260 słuchaczek); w Oksford'zie, Lady Margaret-Hall i Someerville (130 studentek); w Halii Kolegia: Aberystwyth, Cardiff i Bougor (212 słuchaczek) w Birmingham, Mason-College, liczy dwieście studentek. Gdy dodamy do nich kolegia uniwersyteckie Szkocyi, Irlandyi i Londynu, łącznie ze specyalnemi szkołami medycznemi dla kobiet, przekonamy się, iż obecnie słucha w Anglii wykładów uniwersyteckich około 2.000 kobiet rocznie. Liczba ta zdwaja się jeszcze, jeżeli dołączymy do niej słuchaczki kursów publicznych, zaprowadzonych po miastach prowincyonalnych, przez tak zwaną, a tylko Belgii i Anglii właściwą instytucyą: *University Extension*.

System ten razem wzięty, wytworzył już liczne szeregi kobiet o wiedzy gruntownej, nieustępującej w niczem wiedzy męzkiej. W miarę rozwijania go, rząd brytański otwierał przed niemi stopniowo wszelkie zawody i posady związane z autonomicznym ustrojem państwa. Na czele ruchu, z twardą pracą uniwersytecką związana stoi panna Helena Gladstone, ukochana córka również przez naród ukochanego *the old grand man*, prezesa ministrów, Gladstone'a, który sterując tak długo nawą państwa postanowił uwiecznić panowanie sędziwej monarchini i własne rządy, reformą dotąd niebywałą, bo zupełnem zrównaniem praw społeczno-politycznych mężczyzny i kobiety.

Zrównanie to jest w Anglii faktem prawie dokonanym. Jak dotąd Angielki posiadły wszystkie przywileje prócz prawa głosowania publicznego i zasiadania w parlamencie. Prawo to jednak, nie przeszło na ostatniej sesyi Izby Gmin, tylko mniejszością *dziewięciu* głosów, przyczem zarówno lord Roseberry, jak minister Asquith i inni przewódzcy polityczni, dowodzili głośno, iż jest ono naturalnym wynikiem dotychczasowego systemu rządowego, oraz że musi dojść do skutku, gdy tylko kobiety zdołają się lepiej przygotować do swej roli w życiu społecznem.

Szczupłość miejsca nie pozwala nam tu na roztrząsanie, ani celów, jakie ma Anglia w tak silnem

przeprowadzaniu społecznego i politycznego równouprawnienia kobiet, ani środków, jakimi do tego dąży. Chodzi nam jedynie o uprzytomnienie czytelnikowi, że ruch ten, idący z pośród narodu poważnego, z kraju chlubiącego się umiłowaniem rodziny i ogniska domowego, cnotą i czystością swych kobiet oraz bardzo starannem a wzorowem wychowaniem dzieci, że ruch ten, w takich powstały warunkach, musiał wywołać wrażenie i wpływ pewien na ościennych sąsiadów. Stowarzyszenia niewieście, opasujące państwo całe od gminy aż do stolicy, zagarniające wszystko i wszystkich, od cichej parafii, ukrytej w górach Szkocyi, aż do modnych sfer Londynu, a liczące od 100.000 do pół miliona członków, zdołały wywrzeć wpływ swój na inne ludy Zachodu. I oto spokojna, flegmatyczna, domowi, kuchni i dzieciom oddana Niemka, wiąże się także w *Stuadr'y* i *Verein'y*, dowodząc, że ma prawo do chleba i pracy, że chce unieprawieniu materyalizmu i militaryzmu, przeciwstawić wpływ dealniejszy. Za nią żywsza, mniej rodzinie oddana a do spraw publicznych skora Francuzka, organizuje rodaczki swe w stowarzyszenia i związki, pod przeróżnymi zakładane sztandarami.

Rząd tak silny, musiał zwrócić uwagę ludzi poważnych a dobro publiczne miłujących. Chwila zastanowienia wykazała, iż stara Europa zawdzięcza go młodszej i żywotniejszej Ameryce. Fakt ten wystarczył, aby badania w tamtą zwrócić stronę. Jeżeli bowiem świat niewieści starej półkuli ma przyswajać sobie zdobycze z za oceanu, niechże przynajmniej bierze z pośród nich najlepsze i najpożyteczniejsze, najwięcej z duchem pojęć i zasad naszych zgodne.

W tym celu poważniejsze umysły rzuciły się do zgłębienia sprawy niewieściej w Stanach Zjednoczonych i uwydatnienia najnowszych jej postępów. Wśród kilku prac w tym kierunku wyróżnia się nader dodatnio obszerne dzieło znanej publicystki, pani L. Bentzon, pomieszczane w ciągu ostatnich miesięcy, przez paryzki *Przegląd dwóch światów*. Źródłowe, na miejscu w Ameryce opracowane a zatytułowane: *Condition de la Femme aux Etats-Unis* (*Notes de voyage*) jest ono o wiele ciekawsze od podobnej książki de Varigny'ego, budzącej przed dwoma laty ogólne zajęcie. Dzieło pani Bentzon, która zwiedziła osobiście najgłówniejsze ogniska ruchu niewieściego w St. Zjednoczonych, obfituje w szczegóły, zupełnie społeczeństwu polskiemu nieznane. Ztąd też chcielibyśmy, zaczem się ukaże na półkach księgarskich, zapoznać z zarysem jego czytelników „Bluszczu". Rozmiar jednak pracy tej jest tak duży, iż będziemy mogli poczerpnąć z niej najgłówniejsze tylko cyfry i dane, ruchu niewieściego dotyczące. Dla tego więc, pozwoliliśmy sobie rzucić tu wpierw okiem, na przewrót dokonywany w kwestyi tej w Anglii, gdyż praca pani Bentzon po za punktem widzenia ogólno-ludzkim i cywilizacyjnym, o tyle tylko żywy w nas budzi interes, o ile daje klucz do ruchu niewieściego w Anglii i Niemczech. Ten ostatni bowiem, bardzo nas blizki a coraz silniejszy i coraz szersze zakreślający kręgi, może wkrótce i u nas, jak wszystko co idzie z Zachodu, silne znaleść echo.

Anatol Krzyżanowski.

POGAWĘDKA.

Długo namyślała się pani zima, co ma robić z rozmaitemi zdaniami i przepowiedniami znających się na rzeczy i domorosłych meteorologów, czy ma tę dziatwę jak mateczka pod bródkę pogładzić i zbyt chłodnem tchnieniem nie ostudzać ich rozpalonych czółek, czy jak macocha, wziąć się od razu do uszu, ażeby zaczerwieniły od nie macierzyńskich wcale uścisków, lub też do nosa, nie wahając się nawet odmrozić go całkowicie. Namyślała się długo, jakby z umysłu. poczekajcie dzieciaki, mówiła sobie, chcę wiedzieć wprzód co wy tam o mnie gadacie, jakie stawiacie horoskopy; czy jeszcze nie nauczyłam was rozumu, rok rocznie zazierając do mieszkań waszych przez dziurki od kluczów, białym szronem osiadając na ścianach wilgotnych, zasłaniając wam okna sztucznemi arabeskami kwiatów, byście nie mogli zobaczyć co się na zewnątrz dzieje, ani odróżnili świtu od wschodu słońca, czasem łamiąc wam kości i zabijając dech piersi. Przysłucham się waszym pogawędkom, a później zagram wam na swoich własnych skrzypcach.

I zagrała.

— Aj, panie — nie spodziewałem się tego, myślałem, że choć raz sfolguje — mówił, zacierając ręce pan Bonifacy.

— I ja, mości dobrodzieju, byłem tego samego zdania — potaknął pan Serwacy. Układało się już wszystko tak pięknie, niebo miało barwę prawie wiosenną, po straszliwie błotnej i chmurnej paskudnie jesieni, robiło się, dalibóg ciepło, nawet lody na Wisełce pod Warszawą tu i tam już pękać zaczęły i człek się krzepił, że zawsze nizka u nas temperatura, choć o stopień jeden nad zero podskoczy. Prawda, że od czasu do czasu, mości dobrodzieju, śmignął wiatr, że niech go kaci — ale człek myślał, że to jakieś resztki przechodzącej już mimo zimy i uśmiechał się naiwnie i—ot, żeby nie skłamać, na „ciach—ciach" słowicze czekał. Prawda, że jakiś tam gajowy, stary obserwator różnych zmian w przyrodzie, nie dowierzał onej łudzącej aurze i kiedym, panie, w łokieć go potrącając: szeptał, hm! co?—kiwał głową—żeby nie skłamać, nieprzyzwoicie nawet kiwał, bo niby mówił, że to my głupcy, panie — i — mości dobrodzieju, żeby nie skłamać, nie zupełnie się pomylił. Przyjechał mróz, człek w palce dmucha, a skóra cierpnie mu na grzbiecie i teraz wstyd na oczy gajowemu się pokazać.

— Pokpiliśmy sprawę, to prawda—ale...

— Co, mości dobrodzieju?

— Nadzieja —

— Matka...

— Pst!

— Dla czego pst?

— Bo o matce takiej nie miło słuchać.

— Trzeba się jednak przyznać do grzechu — to trudno! — Zamiast napawać słuch przedwczesnem „ciach—ciach—ciach" słowika, potrzeba było pójść po rozum do głowy i zajrzeć do notatek kalendarzowych, do których się zapisywało doznane wrażenia z ubiegłych zim, a przejrzawszy je i przypomniawszy, jak się to marzło uczciwie, jak to mróz szczypał policzki i nieraz kolką siadł w boku — powiedzieć sobie: niema głupich! i zamiast różyczek wylęgłych w bujnej własnej fantazyi, przygotować się trzeba było jak należy z całą powagą i rezygnacyą na wszystkie figle zimy, które chyba noworodków niespodziankami obdarzać mogą. A teraz?

— Brrr!

— Brrr!..

Pan Bonifacy na lewo, pan Serwacy na prawo poszedł, a mróz się iskrzył za nimi i przed nimi, za uszy targał, w policzki szczypał, przymrażał wąsy do futrzanego kołnierza, jakby się mścił za dobre mniemanie, jakie o nim mieli.

Nie wszyscy jednak są na ten mróz rozżaleni, krzepią się poczciwcy, jak mogą i udają, że on im wcale nie dokucza. Karnawał jednakże nie wrze pełnym ogniem zabaw i szału, jak to bywało ongi, „trzecia" i „czwarta" zawiodła, może za gorąco bywa w salach redutowych—za to na dynasowskiej sadzawce, roiło się od maseczek i mówiono mi nawet, że kilka dobrych dowcipów urodziło się.

Dowcip — i to jeszcze dobry!

Hm! to wcale niezła nowina.

A tych nowin tak mało!

Ale—mam jedną i to powiadam państwu nie byle jaką. Zastrzegam się jednak z góry od wszelkich przypuszczeń co się tyczy złego humoru sprawozdawcy i posądzeń go o jakąś niechęć do płci pięknej...

— Płci pięknej?

— Niestety!

— Niestety?

— Ha—cóż robić!

— Więc to jakaś nowinka tycząca się płci nadobnej?

— Z tych urywanych odpowiedzi tłumionych westchnień pańskich sądzić możemy, że ona nie należy do zbyt pochlebnych?

— Tak bardzo znów gorszącego nic nie ma, może zresztą to, o czem mam mówić stanie się z czasem właściwością ogólną warszawskich pań a następnie i panów i wytworzy się tak pożądany przez wszystkich *article de Varsovie*. Oto — zauważyłem już od pewnego czasu, że wychodzi z użycia, przy spotkaniu się mężczyzny z kobietą na ulicy, zwykły dawny ukłon, polegający na wdzięcznem pochyleniu głowy z lekkim a właściwym ruchem całej postaci ze strony spotkanej pani czy panny — natomiast wchodzi zwyczaj kłaniania się—nosem.

— Nosem?

— Tak, proszę państwa, mówię wyraźnie: kłaniania się—nosem. Jest to coś, co doprawdy, opisać trudno. Spotykam młodą, dobrze znajomą sobie osobę, wiem, że między nami żadnych nieporozumień nie było i nie będzie, że spotkamy się dziś wieczorem i wcale inny nawet już ukłon w salonie otrzymam, że parę chwil z nią przepędzonych będzie bardzo miłem wspomnieniem, a jednak—na Krakowskiem lub Marszałkowskiej spotkana ta, a tak gdzieindziej miła osóbka, na mój poczciwy ukłon odpowiada... Otóż właśnie, że niczem nie odpowiada. Przechodzi koło mnie sztywnie, żadnego pochylenia się postaci, żadnego ruchu głowy nie widać, a mimo to—niby się kłania. Nowomodny ten ukłon polega, polega *li tylko* na skarczeniu — noska. Przed rokiem kłaniała mi się w ten sposób tylko panna Kunegunda, następnie panna Weronika i Honorata a teraz i pani Matylda i panna Hortensya i nawet dwie panienki z przeciwka. E! pomyślałem sobie—to już jakaś zaraza kłaniania się noskami zawitała do naszej poczciwej Warszawki, a że tego rodzaju ukłon nie należy do zbyt wykwintnych i praktykującej go niewieście nie przyczynia wcale powabu—postanowiłem z pokorną prożbą zwrócić się do was, piękne panie, ażebyście —jakkolwiek to jest produkt krajowy—do dawnego, poczciwego ukłonu powróciły.

W ostatniej pogawędce rozpisałem się o poezyi, przyrównywając ją do muzyki, twierdząc, że czytać jej nie umiemy, właściwie, zapomnieliśmy, jak czytać należy. Nieumiejętność ta, stała się zapoznaniem, a to zapoznanie było powodem twierdzeń dość często nawet wygłaszanych, że poezya przeżyła swój czas i raz na zawsze musi się usunąć z przed oczu naszych. Po macoszemu obchodzą się z nią czasopisma, wydawcy i niestety — ogół czytający. Prawda, że czasopisma nasze potrzebują jej od czasu do czasu, jako piękną winetkę zdobiącą biały arkusz papieru i nic nadto. Lecz jeżeli numer tego a tego pisma bez kawałka powieści obejść się nie może — wiersz zawsze tylko jest dodatkiem i to niekoniecznym wcale. Śmieszą mnie ludzie, którzy mówią, że tak dobrze, jak wiersz rymowany, można i prozą wypowiedzieć myśli i uczucia.

Zapewne!

Ale, gdy próżniaków liczymy na tysiące, na przeliczenie poetów prawie dziesięć palców wystarczy. Dobrze pisać prozą nauczymy się zawsze,—do stworzenia jednego wiersza, nie pomogą wszystkie prawidła, wszelkie wysiłki mózgowe, bez tego *czegoś*, co jest darem bożym. I właśnie dla tego, że to coś jest *w nas* nie z zewnątrz nas pochodzi, mylą się ci, którzy wróżą śmierć poezyi.

Poetą trzeba się—*urodzić*.

I dziwna, ale wytrwała praca i nauka systematyczna może wytworzyć niezłego malarza, muzyka — poetę nigdy. Tysiące młodzieniaszków płci obojej uczy się rysować i grać—nie dochodzą wprawdzie do artyzmu, ale względnie rysują nieźle i skomponować miłego mazurka mogą. Nikt się nie uczy *pisać wierszy*. I słusznie, to byłby trud stracony Do złapania rytmu nie pomogą palce, a rytm zawsze będzie niesforny i dobrą nieraz myśl wykoszlawi. Ponieważ poezya nie zależy od wykładanych prawideł, ponieważ ona spoczywa w głębi duszy naszej i zjawia się nie wołana—zagrzebać się nie pozwoli i zawsze będzie gwiazdą gwiazd wszystkich.

Że poezya jest darem bożym i cudowne jej czasem przejawy bywają, oto mamy dowód na czternastoletnim pieśniarzu, Adamku Hyc, o którym do wiadomości publicznej podał w jednych z ostatnich

numerów „Kuryer Codzienny.“ Jest to syn chłopski urodzony na wsi, a choć został wzięty do dworu, gdzie nauczono go pisać i czytać, coś miał już w duszy swojej, co go parło do wylewania swych uczuć i myśli w formie rymowanej. Widocznem jest, że od dnia swoich urodzin innem zupełnie okiem niż jego rówieśnicy na świat patrzył, że śpiew słowika, dźwięk ligawki inaczej do ucha jego wpadał, że starał się zrozumieć te głosy, że one doń mówiły—nie wspomnieniami jakiemiś, których mieć nie mógł—lecz tajemniczą siłą wewnętrznej piękności swojej, zrozumianej tylko przez duchy wybrane. Tysiące chłopiąt, równie jak i on, wsłuchiwało się w śpiew szarego ptaszka, wykręcało z wierzbiny fujarki—bawiły ich dźwięki dobyte z wywierconego patyka, lecz nic się nie rozbudzało w ich duszyczkach, których skrzydłami swemi nie otulił anioł poezyi. Oczywiście, że arcydziełami nie są piosnki Adamka, których ma spory znajdować się zeszyt, ale nikt im nie odmówi prawdziwego uczucia, zrozumienia rytmu, zadziwiająco nawet dobrej formy w dzieciaku takim. Przekonają nas o tem parę następnych wierszyków chłopka-poety:

Patrz dzieweczko; już słoneczko
Na niebiosach stoi,
Wstały ziółka—i jaskółka
Dziatwę rosą roi.
Żytko, kwiecie, wszystko w świecie
Wonią swą oddycha;
Wietrzyk wieje, liść się chwieje
I szeleści zcicha.
Wszystko woła do około
„Dzień dobry—dzieweczko!“
Koło uszka, lata muszka
Za tą samą piosneczką.

Dużo jest błędów i wad w piosnce, ale potoczystość wiersza, nie pozostawia nic do życzenia, z którego wieje dech prawdziwej poezyi. Albo ten wierszyk następny, w którym, stając nad nieznanym grobem dziecię—poeta rzuca mu pytanie smutne, poważną bardzo natchnione myślą:

Powiedz mi nieznany grobie,
Czyje kości leżą w tobie?
Od jak dawnej leży doby?
I czy były kiedy one
Ucieszone, uświęcone
Łzą sierocą, łzą żałoby?

Podpisany p. L. K., który nam pierwszy doniósł o Adamku, mówi, że młodziuchny poeta dzieckiem będąc utracił matkę. Dola sieroca wycisnęła swe piętno na jego duszy i oto skarga wypłynęła pełna niewymownego smutku:

Dumka moja nie wesoła,
Raz wraz rzewnym głosi płaczem —
Za czemś tęskni, kogoś woła,
Ale kogo? ale za czem?
Bóg wie tylko, Bóg i ona,
Jak ja cierpieć przeznaczona.
Myśmy siebie, będąc razem
Obdzielili już opłatkiem,
Jedną myślą i wyrazem,
Jednych uczuć naszych kwiatkiem...
Biedne dzieci: ja—i ona,
Zła nam dola przeznaczona!
Duszą, sercem poślubieni,
Jednych światów wychowańce—
Dziś od siebie rozłączeni
Tęsknią, błądzą, jak wygnańce.
Biedne dzieci: ja—i ona
Zła nam dola przeznaczona.

Powiemy szczerze, że niektóre z pism naszych, daleko gorzej pisane wiersze umieszczają na szpaltach swoich. Nie dziwimy się tedy, że—mimo głosów na upadek poezyi, skarg na obojętność ogółu zmateryalizowanego do szpiku kości — prawdziwe piękno musi zawsze odnaleźć szlachetniejszą stronę w uczuciach ludzkich i poruszyć nią silnie; nie dziwimy się, że to chłopie wiejskie zajęło szerszą publiczność i zaczęto się dopytywać o nie i—jak nam Kuryer donosi—znalazło już stosownych opiekunów, którzy potrafią umiejętnem postępowaniem i rozumnym a zacnym wpływem młodociany umysł wykształcić i niepozwolą, by, może wielki talent, zamarł, wspaniała iskra natchnienia w zarodku samym zgasła. Adamek może stać się drugim Adamem—a już tą myśl pokrzepić nas powinna i uczciwie losem się jego zająć.

W prowadzeniu jednak takiego dzieciaka potrzeba dużo mieć rozumu i oględności. Broń Boże, przedwcześnie wielkość w niego wmawiać, wzbijać w pychę i zarozumiałość. To byłoby klęską dla talentu i dla prostaczej duszy. Niech wie, że skarb ten przez Boga mu dany jest drogocenną perłą, ale dużo pracy potrzeba, dużo żelaznej woli i czystych uczuć i myśli, by perła ta rzetelnej nabrała wartości i stała się prawdziwie piękną.

I jeszcze jedno.

Niech niema w pogardzie swojego pochodzenia i swej szarej sukmany; niech wie zkąd wyszedł, dla kogo i o kim śpiewać powinien. U nas bywa tak jakoś, że kto wyszedł z tłumu i wzbił się nad tłum już się nie wraca do niego, a tak zapomnieć pragnie o nizkich drzwiach swojej wieśniaczej chaty, że nawet nazwisko zmienia, dając mu szlacheckich nazwisk końcówkę. Nie przysparza tem chluby sobie, a nam—nam, w znaczeniu wielkiej zbiorowości niewymowną krzywdę czyni. Nazwisko powinno mówić kim jest i zkąd wyszedł — i właśnie w tem ma duma nasza leżeć, bo *w tem*, bodaj czy nie jest — *wszystko*. Daj Boże ażeby Adamek tylko miał dobrych przewodników, a piękne oni wspomnienie znajdą w pamięci nas wszystkich.

Jakkolwiek parokrotnie zwiedzaliśmy salon Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych i przypatrywaliśmy się wystawionym tam konkursowym obrazom, niewygłaszaliśmy swoich zdań o nadesłanych pracach, oczekując rezultatu konkursu. Dziś już nagrody zostały rozdzielone, rozdzielone tak dalece, że nawet „pierwsza“ przepołowiona, bo do otrzymania tej „pierwszej“ nikt godnym się nie okazał. Że tego rodzaju wyrok konkursu zachęcający nie jest, to żadnej dyskussyi nie podlega. I gdyby owa „pierwsza nagroda“ stanowiła rzeczywiście poważną summę—ale kilkasetek rubli rozdwajać, i obdzielać niemi artystów poświęcających swój czas, no i pieniędzy trochę, dla zdobycia laurowego wieńca—to bardzo jest niemiłym wypadkiem. Przecie tu nie chodziło o arcydzieła, bo kto jest zdolny stworzyć *arcydzieło*, o paręsetrublową nagrodę ubiegać się nie będzie—szło tylko o dzieło *względnie* najlepsze. Miejscowi malarze nasi szczególnie zawiedzeni zostali, nawet ta rozdzielona nie im przypadła w udziale. Ha—mniejsza! może źle malują warszawiaki—panowie sędziowie wiedzieli, co czynią, bo co się tyczy rozdziału tej pierwszej, to kto wie, czy dowiedziawszy się o niej ksiądz kapelan, nie powiedziałby znacząco:

— Nie uchodzi, nie uchodzi!

Zaraz po usunięciu obrazów konkursowych nastąpi wystawa dzieł ś. p. Władysława Podkowińskiego. Talent to duży jakkolwiek nie utemperowany, przedstawi się w nadpływających obficie obrazach w całej różnorodności swojej. Zobaczymy nawet i „Szał“ odrestaurowany przez jednego z kolegów nieboszczyka i ostatnie a niedokończone dzieło zmarłego, które (jeżeli się nie mylimy) ma być illustracyą do pogrzebowego marsza Szopena. Dowiadujemy się także, że grono tutejszych malarzy niezadawalniając się samą tylko wystawą obrazów Podkowińskiego, powzięło myśl wydania albumu, któreby mieściło kopje wszystkich większych prac przedwcześnie zgasłego artysty. Album to, o cenie bardzo dostępnej, ma na celu utrwalenie w pamięci, bądź co bądź, wielkiego talentu malarza a ukaże się jednocześnie prawie z otwarciem wystawy ś. p. Władysława.

Karnawał na bale i kuligi, post na odczyty i rauty, mające zawsze cel jakiś dobroczynny—przeznaczone bywały. Ale, że teraz względnie jest głucho jakoś w miasteczku naszem, a sale redutowe brzmią tylko odgłosami dawnych zabaw; w czasie przeznaczonym na urok upojenia się marzeniami, na sny o białych kwiatach mirtu, widzimy co chwila wywieszane ogłoszenia o odczytach na różne cele filantropijne, albo o koncertach ten sam przedmiot mający na uwadze. Pomiędzy temi ostatniemi, koncert, tak zwany studencki ma dobrą tradycyę za sobą. Najlepsze siły miasta ze sfer muzykalnych i artystycznych nie odmawiały w nim swojego udziału, przeciwnie, stawały zawsze gotowe do apelu i już samą obecnością swoją, pociągały bez względu na sympatyczny zawsze cel przyjścia z pomocą uczącej się młodzieży—tłumy publiczności. Ostatni koncert studencki nie sprzeniewierzył się w niczem tradycyi: na estradzie pojawili się śpiewacy, skrzypacy, deklamatorzy i pianiści, wybrano najpiękniejsze produkcye z dziedzin sztuk różnych, a wykonanie każdej, nie pozostawiało nic do życzenia.

Doskonale odegrany został piękny drobiazg Sienkiewicza: „Czyja wina?“ no, ale Marcellówna i Ładnowski wystąpili w tym *bławatku*. Śpiewała p. Konarska, ta gwiazdka dzisiejsza naszej opery, a śpiewała doskonale. W duecie z „Purytanów“ Belliniego wystąpili panowie Sillich i Broggi-Muttini, p. Cardinali, potężnym głosem swoim wywołał burzę oklasków a i p. Bonaplate-Bau doskonale wywiązała się z zadania. Cóż już mówić o ukochaniu Warszawy, owej „Lutni“, która pod wodzą feldmarszałka swojego wstępnym bojem zdobyła serca oddanych jej dawno słuchaczy. A jeśli dodamy p. Lüde deklamującą śliczny monolog Jordana lub dowcipny wierszyk Pawła Kośmińskiego o róży i warszawiance, p. Trapszo-Chodowiecką czarującą wdziękiem „Sielanki“ Bałuckiego — a koncert studencki, na długo zostanie w pamięci wszystkich.

Krom wyżej wspomnianych artystów z zawodu, wybornie grał na fortepianie p. Ludwik Gromadzki, student, uczeń Michałowskiego i prawdziwie po mistrzowsku wykonała dwa utwory Liszta p. Wąsowska, z których jeden, na temat: „Gaudeamus igitur“ doskonale odpowiadał chwili. Publiczność wszystkich, bez wyjątku, występujących na estradzie obdarzyła kwiatami i wieńcami.

Nie dozna też napewno zawodu i raut przygotowujący się z bardzo urozmaiconym programem, którego doniosłym zadaniem jest powiększenie kassy pożyczkowej nauczycielek.

Nauczycielki! To dość, ażeby zrozumieć ważność celu i z całym zapałem przyczynić się do powodzenia zabawy.

Kassa ta założona w r. z. staraniem ś. p. Kasyldy Kulikowskiej zmarłej przed półrokiem we Lwowie, istnieje przy Warszawskiem Towarzystwie Dobroczynności, a że kapitał jej cały wynosi zaledwie rs. 2.000 zbyt więc ograniczoną i działalność jej być musiała. Pożyczki wydawane nie mogły przenosić rs. 48, a i te w wyjątkowych tylko razach następowały, najczęściej dawano zapomogę w summie rs. 12. Pożyczka taka musi być wydawana za poręczeniem dwóch odpowiedzialnych osób, ze spłatą rat miesięcznych i 4%.

Smutna dola nauczycielek i bon nikomu nie jest obcą. Są to najczęściej istoty, którym los odmówił chwilowego nawet uśmiechu, praca ich jest zmudna, działalność doniosła, wynagrodzenie zazwyczaj liche. To też na wypadek śmierci, grób im kopie dobroczynność publiczna, na wypadek choroby głód puka do drzwi ich mieszkania, zresztą bywa konieczność jakiegoś większego wydatku, a szczupłość kapitału nie dozwala przyjść z pomocą. Na sercu wszystkich powinien leżyć rozwój dalszy tej instytucyi, zwłaszcza w obec istniejącego paragrafu w ustawie, zapewniającego podniesienie w dwojnasób wysokości pożyczek w razie dojścia kapitału kassy do summy 5,000 rs. Pomoże łatwo temu brakowi dobra wola ogółu, Warszawa zaś zawsze przodownicą była w czynach miłosierdzia.

Wiemy o programie mającego nastąpić rautu dla nauczycielek, wiemy jako sami biorący w nim czynny udział, ale przed czasem sekretu zdradzać nie możemy, powiemy tylko że oryginalność pomysłu jest wielce pociągająca i—gdy ogłoszoną zostanie — z powodu już samej zabawy, nikt wydanego grosza nie pożałuje.

Do rozmaitych zakładów dobroczynnych, jakiemi jest przepełniona nasza Warszawa, przybył nowy: „Przytułek dla podupadłych obywatelek ziemskich“. Nowa ta instytucya założona staraniem i kosztem p. Seweryny z Pstrokońskich Tymowskiej, pozostaje pod protektoratem warszawskiego towarzystwa dobroczynności. Rzeczony zakład składa się z 4 pokojów z przedpokojem, pasażem i kuchnią. Największy pokój jest jadalny, pozostałe trzy służą za sypialnie dla 9 osób. Początkowo znajdzie pomieszczenie w przytułku dziewięć tylko pensyonarek, z których cztery będą utrzymywane zupełnie bezpłatnie, reszta za bardzo małą opłatą rocznie.

Instytucya ta nowa, znajdująca się przy ulicy Śliskiej ma równie nie małe znaczenie. Skrzywdzone przez los niewinnie często osoby, mające niegdyś dom własny i ognisko domowe, po ciężkich walkach z życiem i zgięciu się pod ciężarem niezbadanych wyroków Nieba — będą miały na starość chleb niewyżebrany, i choć ten smutny spokój, że już rąk nie załamią z rozpaczy. Każda z tych pasierbic losu znajdzie odpowiednie zajęcie, boć i nuda zabijająca bywa.

Patrząc na te liczne ofiary, zapisy, czyny prawdziwego miłosierdzia, na te serca odczuwające niedolę cudzą—jakiś błogi spokój ogarnia duszę ludzką i życie coś ze swego traci ciężaru. Brak u nas jeszcze jednej tylko instytucyi, którą bym może na naczelnem miejscu postawił — jest nią: Zapomoga dla literatów.

Mamy już i to wprawdzie, ale szczupłość kapitału pożyczkowej kassy literatów, nie ma jeszcze tak doniosłego znaczenia, jakie mieć powinno. *My*, jako jednolita zbiorowość z powodu fatalizmu losu i dziejów—w mrok i cień zostaliśmy rzuceni. Nikt się nie troszczy o nas i o podaniu ręki pomocy nie myśli, a jednak przypominamy się ciągle światu i on wie, że—jesteśmy.

Komu tę wiadomość zawdzięczamy? Czy nie tym pracownikom pióra, którzy przędzę swych myśli i swych uczuć kwiaty, rzucają do ogólno ludzkiej skarbnicy ducha? A jaka ich droga ciernista! jaka czasem bezdeń boleści!

. . . . . .

Zamieszczone w „Kuryerze Warszawskim“ wezwanie do gospodyń wiejskich, pragnących z korzyścią dla siebie i ogółu spożytkować produkta wiejskie, zasługuje na gorące poparcie. Projektowaną jest mianowicie spółka gospodyń wiejskich, a do sprzedaży w jej zamierzonym składzie kwalifikują się: wszelkie przetwory mleczne, owocowe, jarzyny wczesne, drób bity, jaja, ciasta, miód, kwiaty świeże i zasuszane, owoce, konserwy, konfitury, soki i wina owocowe, jarzyny, zioła lecznicze i farbiarskie, pióra, nasiona drzew leśnych i hodowane i t. p.—jednem słowem wyczerpać wszystko co może być pożytecznem dla gospodarstwa wiejskiego, nie lekceważyć żadnego nawet pozornie drobnego dochodu.

Przyklaskując tej myśli, podnoszącej ogólny dobrobyt, zwracamy się do pań gospodyń wiejskich, życzących sobie korzystać z projektowanej spółki, aby wprost do Warszawskiego Towarzystwa przemysłu i handlu (Krakowskie Przedmieście Nr 66) dla delegacyi pracy kobiet zechciały *przed 1-ym Marca r. b.* przesłać odpowiedzi na pytania następujące:

1) Jakich produktów i w jakiej ilości mogą dostarczyć w razie założenia spółki?

2) Jaka jest cena produktu za funt, pud lub korzec wraz z kosztem dostawy do Warszawy?

??

BLUSZCZ

OBRAZEK Z ŻYCIA RODZINY

przez

Maryana Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

III.

Są ludzie, którzy mają szczęście do robienia konfuzyi, niedźwiedzich przysług swoim bliźnim, nieporozumień, przykrości, nawet plotek, całkiem niechcący, bezwiednie, bez cienia złej woli.

I zawsze im los takiego figla spłata, że z ich najlepszych intencyj rodzą się jak najgorsze skutki w dalszych następstwach.

Poczciwy Pantofel należał do tego rodzaju „pechowców.“

Po wyjściu od Wicuni gryzło go sumienie, że był jej łez przyczyną i że zasiał ziarno niezgody i rozterki w małżeństwie.

Wymyślał sobie i klął ten głupi język, który zawsze coś złego zmaluje, ilekroć zacznie paplać; trudno go trzymać ciągle za zębami to prawda, bo i tak się zacina i zanim się rozgada, to mu idzie okrutnie ciężko, ale potem znów, kiedy się ośmieli, to się nie umie już liczyć ze słowami i—„masz babo redutę!“—wyrwie się z czemś niestosownem, niepotrzebnem, niewłaściwem.

Ile on to razy sobie już wyrzucał, przyrzekał, postanawiał, żeby trzykroć każde słowo przewrócić i przeżuć w zębach, zanim je wypowie!... ale cóż z tego, wtedy siedział znów, jak mruk z obawy, aby ust nie otworzyć, albo plótł trzy po trzy, ni to ni owo.

— Niema co, głupstwo się zrobiło!—mówił sobie, rozmyślając o Wicuni, — spłakało się kobiecisko, może tam nawet odchoruje to, Bóg wie jeszcze co z Walerkiem było... A wszystko przeze mnie!... Żebym choć wiedział, co się dalej stało?...

Piekło go, gryzło, korciło, aż nie śmiąc zajść do młodych Grosieckich wprost, wybrał się nad wieczorem drugiego dnia do matki Walerego.

Ot, tak sobie, niby w odwiedziny, szarą godzinką, na gawędę; dowiedzieć się, co u stryjenki słychać, czy zdrowa, czy nie była przypadkiem u synowej, czy tam co nie zaszło od wczoraj?...

Stara Grosiecka przyjęła go chętnie, bo stłukła właśnie porcelanową filiżankę z Napoleonem, którą miała jeszcze od swojej babki i głowę sobie łamała nad tem, jakby posklejać skorupki, aby się choć trzymały w kupie.

— A toś się zjawił, jakby cię Pan Bóg sam przysłał!—powitała go na wstępie;—wyobraź sobie, całą noc dziś spać nie mogłam ze zmartwienia.

Pantofel poczerwieniał, jak rak.

— A co?... może pani Wicunia zachorowała? — wyrwało mu się mimowolnie szybko z ust.

— Dlaczego miała zachorować?—spytała go Grosiecka, zauważywszy jego zmieszaną minę, — albo była nie zdrowa?... wczoraj przecież byłam u nich na obiedzie.

— Bo... nie... tego... myślałem tylko,—bąkał na swoje usprawiedliwienie, pilnując się, aby przed czasem znowu się z czem nie wygadał.

— Byłeś tam może także powinszować im?—zagadnęła go, ale on szybko a niezręcznie chcąc się zaprzeć, odpowiedział:

— Nie... to jest... właściwie... tego,—byłem, ale na krótko wczoraj...

Grosieckiej jakoś dziwnem się to wydało, lecz stłuczona filiżanka zajmowała ją w tej chwili więcej od synowej.

— O, patrzno ty, com sobie zrobiła! — mówiła, pokazując na skorupki, owinięte w serwetkę,—stłukłam sobie mojego Napoleona, sama nie wiem nawet jak!... Powiadam ci, biorę już nie pamiętam co ze serwantki, a tu brzdęk! z pod ręki spada mi filiżanka na podłogę. Ażem się za głowę chwyciła, bo to pamiątka i kosztowna rzecz, porcelana!... Ot, widzisz; serce mi ci bić zaczęło w pierwszej chwili, bo mi przyszło na myśl, czy to nie jaki zły prognostyk, ale potem to mi się na płacz zebrało i zaraz sobie ciebie przypomniałam, bo któżby mi to zreparował, jak nie ty jeden!... Mój Teofilku, poradź-no co na to; prawda, że poradzisz?.., ty to majster do wszystkiego.

Zaczął oglądać stłuczoną filiżankę, dopasowywać pojedyńcze kawałki i przez chwilę zapomniał o wszystkiem innem; żyłka do majstrowania w nim się odezwała.

— Ja to z sobą zabiorę, — odezwał się nareszcie.

— Naprawisz?... mój ty!...

— Naprawię; cobym nie miał naprawić?... ani śladu nie będzie. To się zlepi ślicznie, że aż miło. Pojutrze stryjence odniosę.

Pozawijał skorupki starannie w starego „Kuryera,“ każdą osobno i poukładał w tekturowem pudełku, które mu Grosiecka wyszukała pomiędzy rupieciami.

— Walerek tu nie był? — spytał nagle, przypomniawszy sobie właściwy cel swojej wizyty.

— Albo miał być?...

— Nie... tylko tak myślałem...

— On do mnie rzadko teraz zachodzi,—z odcieniem urazy mówiła stara,—ma swój dom, swoją rodzinę, to już matki nie potrzebuje, ja muszę do nich za każdym razem się wlec, kiedy go chcę zobaczyć; na moje stare nogi, to kawał drogi, ale cóż robić!... Ty myślisz, że ona mi go przyszle kiedy?..

Brała ją już ochota skarżyć się i żalić na synowę, chociaż nie miała czego; ot, z przyzwyczajenia tylko, aby utyskiwać nawet bez powodu, bo jej się coraz bardziej wydawało, że od czasu małżeństwa syna, wszystko się na gorsze zmieniło.

Trudno jej było wybić z głowy, że Walerek zobojętniał dla niej, stracił serce do matki, odsunął się i kochał teraz więcej żonę i dzieci, aniżeli ją.

Nie wypadało jej brać mu tego za złe i głośno robić wyrzutów, ale w głębi duszy była obrażoną nie tyle na niego, ile na synowę, że jej jedynaka zabrała na własność.

— A pani Wicunia tu była?—spróbował po kilku obojętnych zdaniach zaczepić znowu o temat, który mu głównie na sercu leżał.

— Nie była; nie wiem co się jej stało, bo zwykle zagląda do mnie, ale wczoraj dopiero mnie widziała, to może się jej za często już wydaje. Wolała pójść pewnie gdzieindziej, gdzie się lepiej zabawi...

Stara westchnęła i usta zesznurowała, aby nie powiedzieć za dużo.

— Albo ona się bawi kiedy! — bezwiednie stanął w obronie jej Pantofel,—siedzi kamieniem w domu; ile razy przyjść do nich, zawsze ją zastać można, tylko Walerka nigdy. O, z niego to rzadki gość w domu!..

Grosieckiej się ta uwaga nie podobała, bo zmarszczyła czoło i brwi podniosła w górę na znak niezadowolenia.

— Ma zajęcia... pracuje biedaczysko.

— No, wieczorami przecież wolny, — wyrwał się Pantofel, jak Filip z Konopi.

— Chciałbyś, żeby nawet świata nie zobaczył!.. przecież mu się należy wytchnienie jakie, nie?.. Matka ma dzieci, dom, gospodarstwo a on co?..

Pantoflowi jakoś to do przekonania nie trafiało.

— Ech!.. on tam sobie znajdzie zawsze... tego... — zaczął, ale urwał.

Grosiecka się poruszyła, jakby ją co ukłuło.

— Nie wierz temu!.. to plotki, tylko plotki. Gdzieby mu się tam chciało bałamucić poza domem!.. Napracuje się cały dzień, namęczy przy tych lekcyach, kontent, że wieczorem może pójść do teatru i zapomnieć trochę. Ale żeby tam, jak to mówią.... to fałsz!.. szczęście ma, to prawda, bo przecież piękny mężczyzna i gdyby tylko chciał, toby kobiety za nim szalały, ale jemu to nie w głowie.

Spojrzała podejrzliwie z pod oka na niego i jakby domyślając się czego, spytała:

— Pewnie ci tam ona znowu co nagadała wczoraj na męża?..

Teofilowi aż skóra zcierpła.

— Co?.. kto?.. ale niech Bóg broni!..

— Bo ona zawsze ma do niego jakieś ukryte pretensye;—mówiła stara dalej,—niby to nie zdradza się z tem, ale hoho!.. ja to widzę często. Oko matki widzi wszystko!.. Wczoraj przy obiedzie....

Nie dokończyła, tylko z politowaniem głową pokiwała.

— Co... co wczoraj przy obiedzie?—z żywem zajęciem zagadnął ją Pantofel.

— At, głupstwo!.. omal że mu sceny nie zrobiła o jakiś tam włos, co go znalazła przy fijołkach, które dla niej kupił,—odrzekła.

— Ah!.. więc to dlatego?..

Zaciął się także, czując, że mu się język niesforny z pod kontroli wymyka, ale w myślach dokończył:

— Aha!... teraz jestem w domu! — a zatem było coś między nimi!

Ale przenikliwość macierzyńska zauważyła ton, w jakim Pantofel tych kilka wyrazów wypowiedział; zaczęła tedy wybadywać go, wyciągać na słówka, zachodzić z rozmaitych stron i ani się spostrzegł, kiedy z niego wydobyła wszystko, i o tem, że wczoraj widział Walerka z tą włoską primadonną, i że się wygadał przed Wicunią, i że ją spłakaną wieczorem samą w domu zostawił.

Wszystkie te wiadomości żywo ją zainteresowały.

— No, i co dalej?.. co jeszcze? — pytała, przybierając minę układną, którą go złudziła, bo w przekonaniu, że tylko wobec matki Walerka broni Wicunię i w jej sprawie przemawia, rozpędziwszy się znowu nieopatrznie, zgotował jej nowe przykrości i kolizye.

Wszystko, co miał na sercu, wyrzucił w słowach, oszczędzając i Walerka, ale konkludując w końcu, że stryjenka miałaby zasługę przed Panem Bogiem, gdyby syna zreflektowała i wdała się w tę sprawę, godząc i usuwając z miejsca wszelkie nieporozumienia w małżeństwie.

— Bo, proszę stryjenki—mówił już szczerze i całkiem otwarcie, — zawsze to, kiedy biedna kobieta tak płacze przez mężczyznę, to musi mieć do niego wielki żal i cierpi przez niego. A choćby tam nawet nic nie było z jego strony, to i tak... tego... prawda?.. A stryjenka, jako matka może najlepiej... tego... delikatnie, spokojnie, tak temu słówko, temu słówko i będzie znowu dobrze, prawda?...

Grosiecka nic już nie odpowiadała, kiwała tylko głową i zagryzała usta z jednej strony, rozmyślając pochmurnie nad czemś.

— A toś mi ciekawych rzeczy naznosił! — odezwała się przy pożegnaniu, — ja sama wiedziałam, jak mi się tylko ten Napoleon stłukł wczoraj, że to coś niedobrego znaczy!

— Tylko moja stryjenko, bo ja... w zaufaniu,... stryjenka rozumie?—mówił, całując ją w rękę dziesiąty raz z rzędu,—przecie nie dlatego, abym chciał na Walerka... ale bo mi żal było tak wczoraj tej biednej pani Wicuni, żem już nie wiedział, gdzie sobie miejsce znaleźć!...

Pożegnał się nareszcie i poszedł w przekonaniu, że wszystko jak najlepiej urządził i że Grosiecka naprawi, jeżeli jest co złego do naprawienia, tak samo, jak on tę stłuczoną filiżankę poskleja i będzie dobrze.

Miał spokojniejsze sumienie i lżej mu się na sercu zrobiło.

Ani przeczuwał, ile znowu złego narobił.

Grosiecka sama z samego rana wybrała się do syna i synowej, poszła przekonać się na własne oczy, jak wygląda to nadwerężone szczęście małżeńskie, o którego całość tak bardzo obawiał się Teofil i tak gorąco ją namawiał do spełnienia obowiązku pośredniczki między Wicunią a Walerkiem.

Trafiła w najgorszą porę.

Po owej scenie nad ranem oboje byli jak z krzyża zdjęci; ona snuła się, jak cień, on do obiadu przeleżał w łóżku a po obiedzie położył się znowu, nie tyle żeby istotnie potrzebował tego, ile dla uniknięcia nowych wyjaśnień i rozmowy z żoną.

Czuł, że się zadaleko posunął wczoraj i przebrał miarę; nie śmiał jej w oczy spojrzeć a nie chciał przyznać się do winy i przepraszać.

Wolał zostawić to czasowi i czekał, aż się nadarzy sposobność sama do naprawienia złego.

Udawał ciągle, że drzemie i że go głowa boli, ale ukradkiem z pod kołdry otwierał jedno oko i przypatrywał się, co żona porabia; widział, jak się słaniała, chodząc, jak ledwie nogi włóczyła za sobą, jak jej ręce drżały, gdy ubierała dzieci, widział jej oczy opuchnięte od płaczu i twarzyczkę zmienioną, bladą, zmizerowaną.

Obawiał się, aby tych wzruszeń gwałtownych nie odchorowała; pierwszy raz widział ją w takim stanie i miał coś jakby wyrzuty sumienia, chociaż sam przed sobą nawet udawał, że się nie powinien poczuwać do winy, bo:

— Ostatecznie — mówił — miałem ja racyę, nie ona; wszystko, co jej powiedziałem, to święta prawda, tylko za ostro, za szorstko się z nią obszedłem. Za głęboko wzięła to do serca, mazgajowatą ma naturę, zaraz płacze, spazmy, mdłości!.. nerwy, nic innego tylko nerwy! Ja sam wszystkie kości mógłbym w sobie porachować. Ta noc dużo mnie będzie kosztowała. Przykrości, awantury, niewywczasowanie, to mniejsza, ale opuściłem wszystkie lekcye, zaraz kilkanaście rubli dyabli wzięli, a kto wie, czy i jutro nie będę musiał spauzować!.. Także zarobek! Ciekawy tylko jestem, kto jej o Biance już powiedział?.. ale ja się dowiem, a potem wszystkie plotkarki z domu poprzepędzam!

Okropnie mu nie na rękę było to całe zajście, zwłaszcza w tym czasie.

Nowa znajomość nęciła go nieprzepartym urokiem; trafiała mu się gratka nadzwyczajna.

Ta czarnooka i kruczowłosa córa południa, z szalonym temperamentem, oryginalna, ekscentryczna, zawróciła mu głowę nie na żarty; przytem była artystką, była niejako koleżanką jego, śpiewała, jak anioł a kokietowała, jak sto dyabłów.

On takie lubił, takie mu się podobały zawsze, ten odcień kabotyneryi pociągał go, miał dla niego urok niezwykły, rozbudzał i w nim wzajemnie jakieś uśpione instynkta, żądze, popędy, fantazye, które to podłe, filisterskie życie, jakie zmuszony był prowadzić od lat kilku w nim zatłumiało.

Dreszcz go przejmował przy tamtej...

Gdy sobie przypominał chwile wczoraj z nią spędzone, zagryzał usta i uśmiechał się rozkosznie pod kołdrą, pomimo wszystkich przykrości doznanych.

— Boska kobieta!—mówił sobie w duchu,—o, to rozumiem!.. to żona dla artysty!.. Zresztą po co zaraz żona?.. Małżeństwo to filisterska rzecz, to dobre dla ludzi pospolitych, ot dla takich tam...

Ze wszystkiego najbardziej mu to dokuczało, że musiał w domu siedzieć i nie mógł się wyrwać wieczorem, ale jakżeż!.. po tych wszystkich awanturach narażać się na nowe?.. nie, niepodobna.

Ten jeden dzień musiał być straszny; żal mu jednak było tego dnia i rozmyślając o tem, nabierał większej znowu urazy do żony, że przez nią psuje sobie życie i przyjemność, i zabawę, i wrażenia, które go odświeżały, które go robiły znowu na jakiś czas człowiekiem niepospolitym ze zwyczajnego filistra, w jakiego się zmieniał powoli.

W rozmyślaniach swoich wahał się i przerzucał z jednej strony w drugą, od współczucia dla Wicuni do niechęci i żalu, od usprawiedliwiania siebie do oskarżania jej.

— Licho mnie też skusiło żenić się i zawiązywać sobie cały los!—powtarzał sobie i szczerze był przekonany, że zrobił kapitalne głupstwo, które się teraz dopiero na nim mścił.

Miał chwile, w których chciał wyskoczyć z łóżka, zrzucić z siebie kołdrę, przestać udawać, zerwać te dobrowolne więzy i względy, któremi się krępował, wdziać na siebie swój najszykowniejszy garnitur, wynieść się z domu i nie wrócić więcej.

Niech sobie potem robią, co im się żywnie podoba; co mu do tego?.. dosyć mu tego poświęcania w tej niewoli, tego przymusu!.. On chce żyć, chce korzystać ze świata, chce używać, bawić się, upajać rozkoszą, szukać wrażeń, być zadowolonym i szczęśliwym tak, jak on to rozumie.

Ale wtedy przesuwała się właśnie przez pokój, jak cień, zbiedzona Wicunia, albo wystraszone i osowiałe dzieciaki stawały we drzwiach, zaglądając, czy ojczulek się jeszcze nie obudził i czy nie napiłby się herbatki z cytryną; wtedy rzucał okiem na to otoczenie swoje i tracił odwagę brać na siebie jednak całą odpowiedzialność za zmarnowanie tylu istot, związanych z nim swoją egzystencyą.

Jakiś głos mu mówił:

— Nie, nie można!... niema nawet co myśleć o tem. Daj pokój! złapałeś się już na całe życie.

Ona zaś nie rozumowała, nie rozbierała niczego, nie zastanawiała się tak szczegółowo nad sobą, bo jej poprostu sił jeszcze zbrakło po wczorajszem wstrząśnieniu; była jak ogłuszony rozbitek, którego jakaś potężna fala zaskoczyła w spokojnym śnie, wyrwała z pokładu i przerzuciła go po swoim grzbiecie na skały, wśród nocy, burzy i huku gromów.

Automatycznie z przyzwyczajenia, z instynktowego poczucia swych codziennych obowiązków, spełniała wszystkie czynności, które do niej należały, ale robiła, jak lunatyczka, bez samowiedzy, bez jasnego zdawania sobie sprawy.

W umyśle jej mieszały się wrażenia nocnej rozmowy z mężem, wspomnienia dnia wczorajszego i najpospolitsze rzeczy bieżącej chwili.

Myślała o tem, że zawiązała życie, los, przyszłość mężowi i to przekonanie tkwiło jej w sercu, niby stalowy kolec a jednocześnie patrzała na rozpiętą sukienkę Munia i widziała, że trzeba mu guzik przyszyć, bo się oberwał.

Czuła ból w każdej komórce mózgu, głowa jej pałała, w skroniach waliło chwilami jak młotem, a urywane wyrazy i całe zdania z jego wczorajszej przemowy przeszywały niby igły długie, cienkie a ostre i rozpalone jej serce; mimo to wysilała się, aby zebrać całą przytomność i rano zadysponować kucharce obiad, chociaż jej to z największym trudem przychodziło; głuchym, bezdzwięcznym, ledwie dosłyszalnym głosem powtarzała jej:

— Weźmiesz pięć funtów mięsa...

— No, już wiem, ale co jeszcze?...

— Pięć funtów..,

Nie wiedziała sama więcej, co chce powiedzieć, przymuszała się jednak wobec służącej, aby nie zdradzić się i nie wydać przed nią inną, niż codzień.

Łudziła się, że uratować potrafi pozory.

Jedno spojrzenie na nią wystarczało, aby te wszystkie ślady burzy i spustoszenia wewnętrznego zobaczyć w jej rysach, w jej całej fizyognomii.

Chwilami stawała, wpatrywała się jak błędna w jakikolwiek przedmiot i rozmyślała:

— Powiedział, że się zmarnował przezemnie... żem mu nic nie dała... żem go nie uczyniła szczęśliwym... A ja?... a ja?... a ja?...

Odbiegały ją nagle wszystkie myśli, wszystkie uczucia i powstawała w niej jakaś rozpaczliwa pustka.

Krew nawet jakby przestawała krążyć w jej żyłach; zimno jej się robiło i dreszcz nerwowy nią wstrząsał.

Tak minął cały dzień.

Nie mogła nic do ust wziąść, nawet herbaty przełknąć nie próbowała, bo ją dławiło w gardle, gdy tylko pomyślała o posiłku.

Przed południem, ilekroć dzwonek się odezwał w przedpokoju, na odgłos jego wstrząsała się tak silnie, że jej z rąk wypadało wszystko.

Służąca uczniom i uczennicom odpowiadała przy drzwiach:

— Pan dzisiaj lekcyi mieć nie będzie, bo nie zdrów.

— A co panu profesorowi?

— A nie wiem, abo to pan powie!...

— Proszę powiedzieć, że byłam i że przyjdę na drugi raz.

Przyszła noc; pomimo wyczerpania fizycznego sen nie przychodził.

Zdawało jej się, że ma powieki ołowiane i przezroczyste zarazem, bo widzi przez nie i rozpoznaje kształty niewyraźne wszystkich mebli w pokoju, blask lampki nad łóżeczkiem dzieci, czerwony żar węgli kamiennych w piecu otwartym.

Spać jednak nie mogła, myśleć nie mogła i w tym jakimś letargu, który był snem, pół jawą leżała na pościeli, słuchając tykotania zegara w stołowym pokoju i bijące wszystkie godziny do północy i po północy.

— Czy ja już nigdy nie zasnę?—rozmyślała i kładła sobie zimną, ciężką dłoń na oczy, jakby je przycisnąć chciała mocniej i zasłonić, walcząc z bezsennością.

Przemęczyła się tak do samego rana.

Na drugi dzień podnieść się nawet nie mogła.

Grosiecka zastała ją w łóżku, gdy przyszła odwiedzić syna.

Przygotowaną była na to, aby od razu wystąpić z gorzkiemi wyrzutami i ująć się o Walerka; jakżeż można było skarżyć się na niego przed ludźmi obcymi, pozwalać na to, aby domowe tajemnice wychodziły poza próg domu? z tego tylko plotki powstają, czy to wypada, aby żona sama psuła opinię mężowi?.. Niech się raz takie rzeczy dostaną na ludzkie języki, a wtedy... oho!.. co komu do tego, jakie są stosunki między mężem a żoną! Dobra żona powinna dbać o dobrą sławę swojego męża, choćby on był nawet najgorszym, a cóż dopiero, kiedy jest najlepszym!..

W ten sposób zamierzała synowej dać naukę postępowania i taktu małżeńskiego, a przy tej sposobności zrzucić wszystko, co się jej nazbierało na wątróbce od dawna.

Ale zobaczywszy Wicunię w łóżku, nie śmiała jakoś rozpocząć wprost swego kazania.

Nie zapytała jej nawet o powód takiej zmiany, miała oczy i współczucie jedynie dla syna, którego wygląd wydawał jej się okropnie zmizerowanym.

— Bój się Boga, cóżeś ty taki blady?—zwróciła się do niego z politowaniem, — jak ty wyglądasz?... Chory jesteś?... co tobie moje dziecko?...

Walery zrobił minę melancholijną, zrezygnowaną, pocałował matkę w rękę i westchnął.

— Nic mi nie jest,—odrzekł wymijająco.

— Jakto nic?... kiedy widzę, że wyglądasz, jak Piotrowina!...—badała dalej zaniepokojona z czułością macierzyńską. — Poznać cię trudno od przedwczoraj!

— Bagatela... to nic. Człowiek powinien znosić wszystko i nie poddawać się, — szepnął sentencyonalnie, jakby do siebie. — Niech się mama rozbierze.

Zajęta synem, nie zwracała się Grosiecka dotąd do Wicuni; czuła teraz jeszcze większą urazę do niej za to, że jej tak zmaltretowała tego biednego Walerka.

Oczy jej poczerwieniały w jednej chwili; odwróciwszy się do ściany, ocierała je chustką i pociągała cicho nosem.

— Niechże mama da pokój!—prosił ją syn, — czegoż mama płacze?...

— Jakże nie mam płakać, kiedy widzę takie nieszczęście!... — żałosnym głosem zawodziła po cichu.—Któż się nad tobą ulituje?... albo to masz kogo innego oprócz matki?...

Wicunia leżała i słuchała tego wszystkiego ze sercem ścienionem, zagryzając usta drżące od bólu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z CZECH.

Brzmią tam u was wesołe dźwięki muzyki, przyjmujecie gościnnie pobratymców z nad Wełtawy, z czego ludzie cieszą się tu bardzo, szczególniej przecież zapowiedziane wystawienie w teatrze warszawskim opery Biedrzycha Smetany, jest rzeczą wielce miłą nietylko melomanom naszym, a że właśnie odbywający się sejm zgromadził w mieście żywioły najinteligentniejsze, bardzo tu ludno i gwarno, przybywa też ludziom w piersi animuszu, ale z drugiej strony jest nad czem zamyśleć się poważnie. Źle się nam dzieje na wsiach, własność większa przebywa przesilenie ciężkie, które przecież można było przewidzieć, bo gdy z postępem czasu przyszła uprawa pól zwanych nieużytkami, więc odłogiem leżących przez wieki, produkcya musiała wzrosnąć, zatem ceny zboża obniżyły się znacznie, gdy z drugiej strony koszta gospodarstwa rolnego zwiększają się co raz i to tylko broni od wyjścia ziemi z rąk odwiecznych jej posiadaczy, że jest bardzo wiele majoratów, które sprzedaży nie dopuszczają. Te rodziny, do których grunta te należą, będą z czasem zmuszone dzielić je między sobą na udziały, nie rozrywając całości i tworzyć się będą takie, jak u nas bywają, wsie szlacheckie. Ratują się tu przecież ludzie przemysłem, który rozwija się bardzo, jak to wykazała wystawa odbyta w Królewskim Grodzie, inaczej Königsgratz, a w której brał wielki udział lud wiejski.

Nie było tu wprawdzie tego, co przedstawiała widzom wystawa w Pradze, przecież nie brakowało odwiedzających, co właśnie wykazywało rozum narodowy i dość powiedzieć, że w przeciągu dwóch pierwszych tygodni zwiedziło wystawę 15.000 osób i był to dla myślącego widza widok nie łatwo dający się opisać. Szczególniej dzień poświęcony na zebranie ogólne Macierzy Szkolnej nie wyjdzie nigdy z pamięci mojej. Zadaniem tej instytucyi, jak to już wam pisałem kiedyś, jest przeważnie zakładanie szkółek czeskich w takich gminach, gdzie przewaga liczebna ludności jest po stronie niemców. Że przecież dla tego właśnie wymaga to nakładów znacznych, bo liczba uczęszczającej tu dziatwy jest mniejsza, zrozumieć łatwo, ale od czego dany jest ludziom od Boga nietylko rozum, ale i serce?

Prezes Towarzystwa Macierzy, prof. Czelakowsky przemawiał na zebraniu tej instytucyi ogólnem, wykazując co tu dokonanem zostało, nie bez dodatku przecież, co by być mogło, gdyby fundusze się zwiększyły, choć majątek szkół daje rocznie 100.000 zł. reńskich dochodu. Uczy się tu pod skrzydłami Macierzy 12.000 dzieci czeskich, ale nie dość to jeszcze według tego, czego potrzeba w odpieraniu giermanizmu od Szumawy do Odry, jak się wyraził zacny pedagog. Ludzie dobrej woli czynią też co mogą. D-r Wilhelm Lambl, professor uniwersytetu warszawskiego, czech rodem a brat rodzony D-r Jana Lambla, professora na technice w Pradze, ofiarował 20.000 zł. reń., na fundusz dla studentów medycyny w uniwersytecie i w technice czeskiej, a gazety miejscowe wspominają to z wdzięcznością, podnosząc obok wartości daru znaczenie pamięci o daleko po za sobą pozostawionym kraju rodzinnym.

Pamięć dobra należy do wielkich zalet Czechów. Kto umiał się stać pożytecznym społeczeństwu swemu za dni sił młodych, odbiera cześć należną w starości a nawet wtedy, gdy odejdzie już na odpoczynek wiekuisty, jak tego dowodem był pogrzeb Wojciecha Naprstka, dobrego syna ziemi swej rodzinnej, podróżnika i pisarza z talentem. Podróże jego po Ameryce, skreślone stylem żywym i malowniczym w obrazach pełnych życia i uczuć gorących, przedstawiały nietylko czytanie zajmujące, ale uczyły cnoty obywatelskiej, wykazując co w walce z losem, w walce z okolicznościami życia trudnemi może zdziałać człowiek wytrwały i uczciwy, pracy się nie lękający. Żegnano też odchodzącego na odpoczynek wiekuisty wspaniale, a zapragnął on spocząć w ojczyźnie prochem i zawarował też sobie w testamencie, aby ciało jego zostało spalonem, gdy Bóg powoła do siebie jego ducha. Że odbyć się to nie mogło w Pradze dla braku potrzebnego tu urządzenia, zawieziono zwłoki do Gothy, gdzie je w krematoryum tamtejszem strawił ogień.

Za popiołami temi, które przywieziono z powrótem do ojczyzny, zawarte w urnie, szedł wielotysięczny orszak, na którego czele jechał konno oddział Sokołów, dalej delegacye kilkudziesięciu stowarzyszeń z rozwiniętemi sztandarami, podobnie jak i cechy miejskie i delegacya cechów amerykańskich. Jeździł on do nich za morze, aby poznał ich życie i pomógł w tem, czego im było potrzeba, a głównie powodowany myślą, aby pomiędzy niemi a ziemią rodzinną istniał węzeł nie rozluźniający się nigdy. Korespondencya jego z wychodzcami amerykańskiemi tworzy foliały, które złożone będą przez wdowę w archiwum miejskiem; urnę, wspaniale piękną ustawiono w muzeum jego imienia, które w Czechach nigdy zapomnianem nie będzie.

Ubył też z jego śmiercią dobry rozjemca między dwoma szczepami ludności tego kraju. W Pradze toczy się wciąż gorąco prowadzona wojna magistratu z władzą namiestnictwa o napisy na rogach ulic. Rada miejska postanowiła usunąć z rogu ulic tablice czesko-niemieckie a zastąpić je czeskiemi tylko i przystąpiła zaraz do wykonania, nie odnosząc się do namiestnictwa, które dopuścić tego nie chciało, ale Czechy postanowili przeprowadzić rzecz mimo to i w sposób bardzo zręczny. W Wiedniu mieszka trzykroć sto tysięcy Czechów, czyż zatem nie należało by się w obec zasady takiej, jaką chce przeprowadzić namiestnik Czech, aby uczyniono dogodność tę dla tak znacznej liczby osób, skoro w Pradze ma się to stać dla dwudziestu sześciu tysięcy austryaków? Jestto naturalnie manewr tylko zręczny, który przecież wykazuje, że sławiański ten naród spokojnie już i wytrwale prowadzi rzecz swoją.

Przecież i tu ludzie nie zawsze umieją się rządzić dobrze i do znacznych strat narodowych należy rozwiązanie towarzystwa, które budziło we mnie zazdrość, że nie ma u nas instytucyi takiej, broniącej aby ziemia nie wychodziła z rąk dawnych jej posiadaczy. „Hospodarska założenia“ to jest Towarzystwo zaliczkowe dla gospodarzy rolnych, uległo likwidacyi; majątek Towarzystwa wynosił 600.000 złotych reńskich, gdy przecież ostatnie sprawozdanie wykazało 160.000 zł. reń., długów niezupełnie pewnych, czy uiszczone będą, Towarzystwo się rozwiązało z wielką szkodą dla dobra ogółu, bo są chwile w których pożyczka z umiarkowanym procentem ratuje rolnika, więc broni aby ziemia nie wychodziła z rąk tych, których ojcowie i dziady rosili ją potem swoim. A jak tu ludzie biorą do serca sprawy ogólne, dowodzi smutny fakt, łączący się z rozwiązaniem Towarzystwa. Wacław Krotochwil, ziemianin zamożny i wiele czyniący, aby ziemia utrzymała się przy Czechach, tak się ciężko tem zmartwił, iż Towarzystwo utrzymać się nie mogło, że nie przeżył tej straty.—Nie umiemy żyć, nie umiemy być narodem rozumnym... mówił jednego wieczoru do przyjaciela, a na drugi dzień znaleziono go w łóżku trupem martwym.

Czesi są w ogóle gospodarni i oszczędni, bo zrozumieli nie dziś dopiero, że w stosunku ich do Niemców wielką bronią ratunkową jest grosz nie rozrzucany marnotrawnie. Trzymają się też ziemi, można powiedzieć z namiętnością, ale niemniej znają wagę przemysłu, handlu, w którym widzą, nie bez pod tawy, interes ogółu i ubiegłego lata 107 członków stowarzyszenia handlowego Merkury, odbyło wycieczkę do Hamburga z celem poznania nadmorskich niemieckich ognisk handlowych. Kto w Czechach przebywał czas jakiś i przyjrzał się życiu tego pobratymczego nam narodu, uznać to musi, że miłość kraju nie zawiera się w dźwiękach słów mniej więcej gorących. Wystawa sztuk pięknych odbyta tego lata w Rudolfinum, dowodzi już tego, choć jest to pewnik niezbity, że sam artyzm nie pociągnie tu ludzi, nie każe sercom ich bić gorąco. Wystawę etnograficzną odłożono na rok 1895, czeska Akademia umiejętności zajmuje się pracowicie tą sprawą, lecz ze względu na turystów, na osoby dążące do wód czeskich, otwarta ma być w lecie dopiero.

Znany wam, bo niejednokrotnie przebywający w Warszawie, Edward Jelinek, dobrze zużytkował lato; dla poznania bliżej pobratymczych szczepów sławiańskich zwiedził Kaszuby i wrócił też tak rozkochany w pięknościach tamtejszej natury nadmorskiej, jak i szlachetności przy prostocie tego słowiańskiego szczepu. Umieją kochać, umieją czuć i to jest ich fortecą, do której nie wtargnie Niemiec.

.....

O wentylacyi mieszkań.

Z nastąpieniem chłodów, gdy wicher północny, dmie w okna mieszkalnego domu, pozostaje pragnienie szukania ochrony i odpoczynku w zacisznym, ogrzanym pokoju, zwłaszcza gdy odbędziemy przymusowy spacer po zabłoconych ulicach, podczas dżdżystej chłodnej pogody, gnani przenikliwym, ostrym wiatrem. Jeśli podczas letniej pory, mniej ważną wydaje się kwestya wygody i zdrowotności naszych mieszkań, i stawiamy ją na drugim plamie, z powodu ciągłego prawie przebywania na świeżem powietrzu, za to sprawą pierwszorzędnego znaczenia staje się w zimie urządzenie domu w sposób odpowiadający warunkom hygieny i wygody. Głównie zwracać należy uwagę na dobrą, do nowoczesnych wymagań zastosowaną wentylacyę.

Wziąwszy pod uwagę niezbity fakt, że bez przerwy wdychamy z otaczającego nas powietrza tlen, a za pomocą płuc wydzielamy kwas węglany, łatwo zrozumieć niezbędną konieczność częstego odświeżania powietrza. Każdemu zapewne wiadomo; że kwas węglany ma własności trujące. Umiarkowanie w powietrzu nagromadzony, działa drażniąco, w większej ilości, śmierć sprowadzić może.

Pałąca się zapałka, tlejąca drzazga gaśnie natychmiast, przy zbliżeniu do miejsca w którem nagromadzoną jest większa ilość kwasu węglanego; życie ludzkie tak jak ów płomień, gaśnie również pod wpływem duszącego gazu. Znaną jest pod tym względem, niebezpieczna pieczara w pobliżu kąpielowej miejscowości Pyrmont, w której przez szczeliny, wydziela się kwas węglany. Zabójcze działanie tego gazu, wyjaśnia przyczynę zbiorowych śmierci, które się dawniej nieraz przytrafiały na statkach wiozących niewolników, oraz w domach schronienia dla więźniów skazanych na zesłanie. W skutek nadmiernego natłoku nieszczęśliwych ludzi, powietrze szybko się zużywało, wydychany gaz zatruwał je i powodował śmierć biednych ofiar.

Znakomity uczony Du Bois Reymond uczynił spostrzeżenie, że z powietrza wydychanego przez człowieka wydziela się tak zwany anthropotoxin, pierwiastek o nieprzyjemnej woni, a bardzo szkodliwy dla ludzkiego organizmu, działający więcej jeszcze zabójczo niż kwas węglany, a jednocześnie, podtrzymujący szkodliwy wpływ powietrza, zwykle w zacieśnionych mieszkaniach przesyconego kwa-

sem węglanym. Dłuższe przebywanie człowieka w zamkniętem mieszkaniu, zajęcia jego w domu, przyczyniają się do gromadzenia pyłu, mogącego zawierać szkodliwe a nawet niebezpieczne miazmaty. Wszystkie te drobne stałe cząsteczki, za lada powiewem wznoszą się i krążą w powietrzu, a gdy oddychamy osiadają na błonie śluzowej kanału oddechowego. Jeżeli przez brak wentylacyi nagromadzi się zbyt wiele tych cząsteczek, w których jak wyżej powiedziano mogą się znaleść i chorobotwórcze bakterye, wówczas następuje podrażnienie dróg oddechowych, a zagnieżdżenie się w organizmie niektórych szkodliwych mikrobów sprowadza różnego rodzaju zapalenia.

Dla zabezpieczenia się od tych złych następstw koniecznem jest przedewszystkiem staranne i regularne przewietrzanie wszystkich pokojów, bez względu na to, czy służą do pracy, czy jako sypialnie. Proces spalania się w mieszkaniu materyałów ogrzewających i oświecających, wydzielając również kwas węglany, lub inne trujące gazy, powiększa konieczność częstego przewietrzania. Płomień, tak samo jak oddech człowieka, pochłania tlen i powiększa zawartość kwasu węglanego, zanieczyszczając powietrze i zatruwając je. Nietylko więc sam człowiek swym oddechem wnosi szkodliwe pierwiastki do powietrza; zanieczyszczają go również niemało wyziewy, wydobywające się z gruntu na którym dom stoi, gazy powstające z rozkładu organicznych substancyi, osiadających niewidzialną prawie warstwą, na różnych płaszczyznach, oraz niekiedy gazy kanałowe, lub rozchodzące się z sąsiednich fabryk, łatwo zatem zrozumieć, że w najgorszych warunkach pod względem powietrza znajdują się ciasne i stosunkowo zanadto zaludnione mieszkania biedniejszych warstw społecznych, więzienia, niektóre szkoły licznie uczęszczane, mieszkania od dziedzińca, oraz tak zwane alkowy, czyli pokoiki pozbawione światła, przeznaczone niekiedy na sypialnię, pomimo swych niehygienicznych warunków.

Nastręcza się pytanie w jaki sposób osiągnąć możemy w mieszkaniu pożądaną wentylacyę? Po części odbywa się owa wentylacya bez naszego współudziału, w skutek ruchu powietrza, będącego następstwem żywiołowych potęg, a mianowicie: dyfuzyi gazów, różnicy temperatury i chwiejności ciśnienia. Fizyka objaśnia, że dyfuzyą gazów, nazywamy dążenie ich we wszystkich kierunkach do wzajemnego połączenia się. To prawo tłomaczy, dlaczego kwas węglany, jakkolwiek cięższy niż inne pierwiastki powietrza, krąży w zamkniętym pokoju, nietylko nizko, po nad podłogą, ale wznosi się i wyżej pod sam sufit nawet, chociaż powietrze nie jest w ruchu. Nierówność temperatury jest przyczyną różnicy ciśnienia, a przez to ruchu powietrza. Ciepłe powietrze jest lżejsze, aniżeli zimne. To ostatnie okazuje nieustanne dążenie do rozszerzania się i wznoszenia w górę, gdy tymczasem nieco już ogrzane, dąży ze swej strony do równowagi.

Potężna siła wywołująca ruch w naturze—ciepło słoneczne, sprowadza przez nierówne ogrzewanie różnicę temperatury, a przez to chwiejność ciśnienia powietrza. Różnorodność ciśnienia jest przyczyną wiatrów. Te właśnie siły, wprowadzają w ruch powietrze naszych mieszkań, jeżeli nie stawiamy im nieprzezwyciężonych przeszkód. Naturalna wentylacya odbywa się więc, tak pod wpływem promieni słonecznych, jak prądów powietrza, za pomocą szpar w ramach okien i niedostrzegalnych dla oka, drobnych szparek, znajdujących się w najlepiej nawet zbudowanych murach, olejno nie malowanych. Słońce wywołuje jak wyżej powiedziano, różnicę temperatury, a temsamem, ożywioną przemianę zewnętrznego i wewnętrznego powietrza. Wiatr podwójnem swem działaniem sprowadza chwiejność ciśnienia. Po pierwsze działa czynnie, — pulsująco, jak brzmi techniczna nazwa; atakuje pionowe te drobne szparki i jak niewidzialny tłok, wpycha powietrze z zewnątrz, zmuszając ścieśnione pokojowe powietrze do szukania ujścia inną drogą. Powtóre wiatr działać może zmniejszając ciśnienie, ma to miejsce wówczas, gdy przesuwa się tylko wzdłuż tych szpar naszych siedzib; wtedy jak ssąca pompa, porywa z sobą powietrzne cząstki, spoczywające tu w spokoju, a że inne powietrzne atomy wypełniają natychmiast próżnię, znów więc następuje zmiana powietrza.

Pierwszem prawem hygieny jest, aby nie przeszkadzać tej naturalnej wentylacyi. Mury powinny być wykonywane z materyału dziurkowatego, a okien nie należy zabezpieczać zbyt troskliwie sukiennemi lub gumowemi paskami. Pomimo to owa naturalna wentylacya rzadko kiedy okazuje się wystarczającą, zwłaszcza jeżeli różnica temperatury jest mała, a siła wichru umiarkowana. Przedewszystkiem ta mimowolna wentylacya nie jest w możności uwolnić nas od silnie zanieczyszczonego powietrza. Naukowo przeprowadzone badania stwierdziły, że tylko za pomocą przewiewu, można dojść do pożądanego rezultatu. Pokoje nasze powinniśmy przewietrzać przynajmniej rano i wieczór, za pomocą silnego przewiewu, to jest otwierając na przestrzał drzwi i okna. Osoby wrażliwe lub nie zahartowane mogą w czasie przewietrzania wydalić się z pokoju. Otwierając drzwi i okna, dajemy przystęp dla świeżego powietrza z zewnątrz, ono zaś wypycha z mieszkania zepsute powietrze, a z niem szkodliwe miazmaty unoszące się w postaci pyłu. W skutek silnego parcia powietrza, wszystkie zakątki pokoju wypełniają się dobrem świeżem powietrzem, co stwierdzonem zostało za pomocą specyalnych przyrządów w celach naukowych sporządzanych.

Wszelkich drobnych pyłków o nieprzyjemnej woni, osiadających na meblach, firankach i pościeli tym sposobem pozbyć się można. W zwykłych warunkach, dopełniając stale takiej wentylacyi, utrzymamy w mieszkaniu, konieczne dla zdrowia świeże powietrze. Obliczono, że jeżeli powietrze wchodzi do pokoju przez okna i drzwi z szybkością jednego metra na sekundę (a zwykle prędkość jest większa) w takim razie w przeciągu dziesięciu minut przez pokój średniej wielkości o dwóch oknach, przepływa pięćset do sześciuset metrów sześciennych świeżego powietrza. Sztuczna wentylacya okaże się potrzebną tylko dla mieszkań będących w bardzo niepomyślnych warunkach pod względem dostępu powietrza, jak również dla budynków przeznaczonych na zakłady przemysłowe, w których zbiera się znaczniejsza ilość ludzi, gdyż tu potrzebna jest częstsza zmiana powietrza.

Najprostszą sztuczną wentylacyą jest opalanie mieszkania. Każdy wie z doświadczenia jak szybko poprawia się powietrze w pokoju po napaleniu w piecu, lub na kominku, piec bowiem wciąga ogromną ilość pokojowego powietrza, przyciągając przytem równą ilość powietrza z zewnątrz, przez co odbywa się przemiana. Do jakich rozmiarów dochodzi prąd tej przemiany, przekonywa nieprzyjemne uczucie cugu, przy zbliżeniu się w stronę pieca. Badania przemiany powietrza, w ten sposób odbywającej się dowiodły, że zwykły komin może w ciągu godziny zmienić dwadzieścia razy powietrze, w pokoju średniej wielkości. Wentylacya za pomocą specyalnych kanałów, ssących przyrządów, wachlarzy, skrzydeł, śrubowych wentylatorów, nie jest dla prywatnych mieszkań konieczną, i nigdy zapewne w ogólne zastosowanie nie wejdzie.

Jeżeli więc pozostać mamy, przy dotychczasowych sposobach wentylacyi naszych mieszkań, nie zaniedbujmy udzielanych nam rad, co do otwierania okien i w każdej porze roku wpuszczajmy przez nie świeże powietrze, tak konieczne dla naszego zdrowia.

E. F.

Kronika działalności kobiecej.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż projekt ministeryum skarbu o wykształceniu handlowem kobiet, złożony Radzie państwa zawiera zamiar otwarcia handlowych kursów dla kobiet.

— *Gazeta Petersburska*, podnosi kwestyę braku litości tych pań zamożnych, które zajmują miejsca płatne w rozmaitych instytucyach, gdy ubogie, potrzebujące pracy aby wyżyć, już się tam dostać nie mogą. „*Gazeta*“ dodaje, że pensya pobierana tu przez kobiety nie przechodzi zwykle 30 rs. miesięcznie, co jest tak nizkiem wynagrodzeniem za pracę, wymagającą pewnego już wykształcenia, że dochód ten nie może zapewnić pracującej bytu, nawet bardzo skromnego. Kobiety zyskały by zatem więcej, gdyby oddały się gorliwie domowej pracy w rodzinie.

— Warszawska Rada Miejska dobroczynności publicznej przyjęła zapis ś. p. Anny Zaleskiej, 3.000 rs., dla trzech dobroczynnych instytucyi miasta naszego, a to: dla szpitala dziecięcego, dla Tow. Dobroczynności, dla Domu Schronienia paralityków Feliksa Sobańskiego.

— P. Walerya Marrené Moszkowska zrobiła dobry uczynek podając w „*Kuryerze Warszawskim*“ szczegółową wiadomość o zarządzie Kassy pożyczkowej dla bon i nauczycielek, powstałej w roku zeszłym przy War. Towarzystwie Dobroczynności, staraniem nie żyjącej już Kasyldy Kulikowskiej. Pożyczki udzielane są z terminem rocznym na 4% ze spłatą w terminach miesięcznych, co już jest dobrodziejstwem wielkiem, bo są chwile braków ciężkich w obec potrzeb życia koniecznych. Najwyższą pożyczką jest 48 rs. Kassa wymaga jedynie poręczenia dwóch osób godnych zaufania, co nie przedstawia wielkiej trudności, skoro dobra opinia u ludzi pozyskaną zostanie, ale niedostateczna jest pomoc Kassy w wypadkach naprzykład choroby jakiejś cięższej, po której pozostające osłabienie pracować nie pozwala bez szkody dla organizmu a nawet pracy znaleść nie można, bo wzgląd wyżej wymieniony stawa tu jako zapora.

— Maryanna Izyderkowiczówna, zostająca w obowiązku gospodyni u ks. plebana w Życku, w powiecie gostyńskim, otrzymała za łagodne i troskliwe obchodzenie się ze zwierzętami od War. Towarzystwo Opieki nad zwierzętami pochwałę na piśmie i 3 rs., nagrody. Nagrodą drugą, ważniejszą tu jeszcze jest obok uznania ludzkiego uczucie to słodkie, dla kobiety zwłaszcza, że serce jej złem nie jest.

— Opiekunkami przytułku 3-go S-go Józefa ubogich sierot dziewcząt zostały p. p. Leokadya Wysiekierska, Ludwika Siemieńska i Marya George.

Schronienie dla sług, potrzebujących przytułku w obec chwilowego braku zajęcia, a mieszczące się przy ul. Nowowielkiej, zalicza się do tych instytucyi użytku publicznego, dla których należy ze strony kobiet wykształconych zajęcie życzliwe, bo rozumieją one jakiem jest położenie zwłaszcza dziewczyny młodej, gdy samotna nie ma się gdzie przytulić tak, aby narażoną nie była na wpływy źle działające. Schronienie miało w roku ubiegłym dochodu 1848 rs., a to: z ofiar jednorazowych 319 rs., z ofiar stałych 739 rs., z opłat od przebywających w Schronieniu 234 rs., za pranie bielizny tam wykonywane 479 rs. Wydatkowano: na lokal 570 rs., na administracyą 286 rs., na żywność, opał i światło 767 rs. Pozostało zatem na rok bieżący 224 rs., zapasu. W ciągu roku zeszłego znalazło w Schronieniu przytułek 114 sług do wszystkiego, oraz młodszych i kucharek, praczek, bon, gospodyń.

— *Schronienie Szwaczek*, wykazuje w wydanem świeżo sprawozdaniu z rocznych czynności swoich, że ze składek stałych otrzymało 770 rs., z ofiar jednorazowych 1.432 rs., w czem się mieści od p. Maryi Witkowskiej założycielki, rs. 1.100. Wykonane roboty przyniosły 2.276 rs., co razem przyniosło 4.479 rs., wydano zaś: za lokal, opał, światło i pranie bielizny 1.204 rs., opłata administracyi służby, oraz wsparcia ubogich szwaczek 707 rs., zakup materyałów i dodatków przy robotach 1.014 rs.; pożywienie pensyonarek stałych, szwaczek ubogich i słabowitych, oraz służby 1.280 rs., różne wydatki 94 rs. Razem wydatki przedstawiają 4.302 rs.; zatem dochody przewyższyły w r. 1894 wydatki o 177 rs.

Schronienie pozostaje pod opieką Warsz. Tow. Dobroczynności, a mieści się przy ul. Nowogrodzkiej (Nr. 21), gdzie ma pracownią, w której oprócz wyżej wymienionych sędziwych szwaczek, znajdują utrzymanie i zajęcie nie przeciążające szwaczki słabowite, nie mogące pracować usilnie.

— Komitet pań Tow. opieki nad zwierzętami, nabył od p. Dygasińskiego powiastkę mającą na celu rozpowszechnienie uczucia litości nad zwierzętami, które człowiek nierzadko pracą przeciąża, lub katuje niemiłosiernie. Komitet wygłosi w poście seryę odczytów z tego zakresu, jak to bywało poprzednio. Towarzystwo posiadało w początkach roku 3.600 rs., w lecznicy Towarzystwa leczył weterynarz

w ostatnim miesiącu ubiegłego roku 38 koni, 47 krów, rad bezpłatnych udzielił 40 razy.

— Nauczycielki krakowskie podjęły dobrą myśl urządzenia odczytów dla dzieci, na których bywa ich zawsze liczba znaczna.

— P. Władysławowa Żeleńska podjęła dobrą myśl uczczenia pamięci księżny Marceliny Czartoryskiej, założycielki krakowskiego szpitalika dla dzieci, przez wmurowanie w kościele Najświętszej Panny tablicy pamiątkowej.

— Krakowskie stowarzyszenie pracy kobiet, którego przewodniczącą jest p. Laskowska, żona starosty krakowskiego, daje pracę na chleb czterdziestu ubogim kobietom. Stowarzyszenie pomocy naukowej imienia Kraszewskiego mieści w gronie zarządu doktorową Bujwidową, która zajmuje tam miejsce zastępczyni prezesa.

— Na posiedzeniu Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk, odbytem w ostatnich dnia ubiegłego miesiąca, podjęto ważną kwestyę dopuszczenia tu kobiet, a to z powodu iż do wydziału lekarskiego zgłosiła się kobieta, posiadająca patent ukończonych studyi lekarskich. Rozstrzygnięcie odłożono do walnego zebrania Towarzystwa.

— Na wystawie poznańskiej, mającej się otworzyć w maju będzie funkcyonował komitet oddzielny dla oceny pracy kobiet; na czele stać tu będzie p. p. dyrektorowa Kusztelan, i professorowa Jaroszyńska. Do tych pań należy się zwracać osobom zamierzającym wziąść udział w wystawie. Dyrektorowa Kusztelan mieszka przy ul. Ludwika, Nr. 2.

— W Tunisie, w mieście Suzie, zmarła kobieta wielce zasłużona ludzkości, siostra Józefina Doffer ze zgromadzenia sióstr Objawienia S-go Józefa, wielkich cnót chrześcijańskich, oraz wytrwałej pracowitości. Poświęcając nieraz życie wśród różnych niebezpieczeństw, otrzymała też krzyż Legii honorowej i wstęgę orderu tunetańskiego Nicham Iftikar, otrzymała też pogrzeb z honorami wojskowemi. Nad grobem przemawiał pułkownik wojsk francuzkich, oraz przełożony gminy, a tłumy ludności, nietylko chrześcijańskiej, towarzyszyły aktowi złożenia jej do grobu. W czasie pogrzebu upadł deszcz upragniony na spalone od długiej suszy niwy a lud arabski uważający ją za świętą uznał w tem cud łaski bożej, uproszony przez zmarłą.

Zmarła w Londynie literatka wyższego znaczenia, Alicya King, ociemniała w siódmym roku życia, wykształcona przecież wysoko w nauce historyi i geografii, oraz w językach, których posiadała siedem oprócz ojczystego, a to: francuzki, niemiecki, włoski, hiszpański, łaciński, grecki, hebrajski. Powieści które dyktowała, należą do wyższych, a między niemi miejsce pierwsze trzyma „Qucen of Herself“ (Królowa samej siebie). Tak talent, jak charakter szlachetny sprawił, że otaczało ją przyjaźnią życzliwą grono ludzi wyższego znaczenia, a pierwszym tu był Dickens. Muzykalna bardzo, grała biegle na fortepianie i na harfie.

Z bieżącej chwili.

— Petersburska kommissya do spraw przywileju dla wynalazków, ukończyła opracowanie tego przedmiotu. Termin trwania przywilejów oznaczony został na przeciąg lat czternastu do siedemnastu.

— Na posiedzeniu petersburskiego ziemstwa, odbytem w d. 8 lutego, uchwalono przyłączenie się do prośby rady miejskiej Petersburga, aby szerokotorowa kolej petersburska połączoną została przez Wołogdę, Wiatkę i Perm z wielką koleją Syberyjską. Prośba wyraża obok tego żądanie oddania budowy tej kolei pod zarząd komitetu budowy kolei Syberyjskiej, a to z powodu potrzebnego tak dla całego kraju północnego, jak i dla stolicy państwa skrócenia drogi wiodącej do portu petersburskiego, oraz do portów handlowych.

— Petersburskie obserwatoryum meteorologiczne zapowiada znaczne zwiększenie się mrozów, silne wiatry północnowschodnie i wielkie śniegi.

— Obok wielkiego planu Warszawy, który opracowuje biuro pomiarów przy zarządzie kanalizacyi, wykonany będzie w roku bieżącym plan równie dokładny, przecież o znacznie zmniejszonej skali. Składać on się będzie z 21 arkuszy, z których każdy przedstawi powierzchnię 750.000 sążni kwadratowych tak, iż całość obejmie 15.750.000 sążni. Obecnie zdjęto już plan z 6.937.500 sążni kwadratowych.

— Po zamknięciu rachunków budowy kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie okazało się, iż pozostała kwota, zapisana przez nieżyjącą już Emilię Załęską na wzniesienie ołtarza S-ty Trójcy, nie jest wystarczającą, zatem ołtarz stanąć może dopiero wtedy, gdy zbierze się summa odpowiednia.

— Dom Ojcowski, mający stanąć przy mokotowskim instytucie poprawczym dla chłopców rodzin zamożniejszych, zacznie się budować już w roku bieżącym, jeżeli otrzymać będzie można zasiłek z funduszów miejskich. Dom ten obliczono na pomieszczenie 60 chłopców, płacących od 200 do 300 rs., rocznie i gdy się to stanie, dochód z tego źródła pozwoli utrzymywać w oddziele bezpłatnym większą liczbę ubogich a opuszczonych sierot.

— Ogłoszona ustawa normalna Towarzystwa pomocy dla uczącej się młodzieży rozbudziła już dobre chęci w sercach ludzi, pojmujących znaczenie oświaty dla społeczeństwa. W Radomiu zawiązało się Towarzystwo takie.

— Jednodniówka kaliska na dochód miejscowego Tow. Dobroczynności wyjdzie wkrótce w druku. Rękopism już jest gotowy do druku.

— Zbiorowa wystawa obrazów i szkiców ś. p. Władysława Podkowińskiego otwartą będzie w d. 15 bieżącego miesiąca w Warsz. Towarzystwie sztuk pięknych. Dochód, jaki przyniesie, przeznaczony jest na rzecz rodziny zmarłego.

— Rzeźba w gipsie przedstawiająca kobietę siedzącą, która po skończonej pieśni oparła głowę o lirę a rękę prawą opuściła w dół, wykonana przez młodego rzeźbiarza, Konstantego Laszczka, ukazała się na wystawie Tow. Sztuk pięknych. Według zdania znawców praca ta zapowiada talent wyższy; p. Laszczkó kształcił się w Paryżu.

— W Salonie artystycznym na Nowym-Swiecie wystawione zostało dzieło pendzla Matejki, nieznany dotąd u nas portret kasztelanki wiśnickiej, malowany w 1876 r., to jest w czasie najpełniejszego rozkwitu jego talentu. Portret przedstawia dziewicę rzadkiej piękności w sukni szkarłatnej, z twarzą wprost do widza; złotowłosa rozpuściła bujne kosy swoje, lekko podpierając głowę na lewej ręce. Tłem obrazu jest bogato haftowana firanka i widok wieżyc zamku wiśnickiego, starożytnej siedziby rodziny Kmitów.

— Także w Salonie artystycznym znajduje się bardzo starannie i pięknie wykonana przez malarza Rutkowskiego kopia obrazu tego mistrza: „Wit Stwosz,“ oraz Kazimierza Alchimowicza krajobraz leśny, na tle jego młode dziewczę u źródła.

— Znany i ceniony malarz, Piotr Stachicwicz zamierza wraz z Gawalewiczem puścić się jesienią w podróż do Ziemi Swiętej. Stachiewicz pendzlem a Gawalewicz piórem malować będą obrazy tej krainy wiekopomnej dla całego chrześcijaństwa. Wydawca na spodziewane dzieło już się znalazł.

— Sprawa z Węgrami o Morskie Oko jest obecnie rozpatrywaną w Wiedniu, w ministeryum spraw wewnętrznych. Referat oddany został jednemu z radców ministeryalnych, którego zwolniono od wszelkiej innej pracy urzędowej, a to w celu aby mógł zbadać rzecz należycie i nie powierzchownie.

— Na politechnice lwowskiej spodziewane jest utworzenie katedry górnictwa, niezmiernie potrzebnej. Wydział krajowy przychylił się do udzielenia subwencyi na pracę głębokiego wiercenia szybu na terenie powystawowym w celach nauki, bo dla zbadania pokładów ziemnych gruntu, na którym wznosi się miasto.

— Pierwsze walne zgromadzenie z celem utworzenia we Lwowie Tow. Zachęty przemysłu krajowego odbyło się w d. 8 b. miesiąca. Na czele komitetu inicyatorów stanęli tu: ks. Sanguszko marszałek i ks. Jerzy Czartoryski. Zadaniem Towarzystwa będzie działać tak na publiczność, jak i na instytucye, aby wszelkie potrzeby zaspakajane były wyrobami przemysłu krajowego, a zarazem usilne rozgłaszanie tej idei samopomocy i obznajmianie ogółu z wyrobami tego przemysłu, oraz budzenia w ludziach odwagi do przedsiębierstw przemysłowych, wykazywanie środków, jakiemi należy dążyć do tego celu, rozszerzając zarazem wiedzę o różnych gałęziach przemysłu. Rozpowszechnienie wiedzy tej ma wielkie znaczenie swoje, więc należy wywoływać, a następnie wspierać wydawnictwa dzieł, traktujących o przemysle, oraz dążyć do urządzania stałych, lub terminowych wystaw wyrobów krajowych.

— Lwowskie Tow. muzyczne, odbywające corocznie walne zgromadzenie zebrało się przed przewodnictwem swego prezesa, D-ra Czajkowskiego i wykazało bardzo pomyślne rezultaty działań swoich. Konserwatoryum muzyczne rozwija się pod kierunkiem i opieką Towarzystwa bardzo szczęśliwie, licząc coraz więcej uczniów, pomimo bardzo ciasnego i nie odpowiedniego do celu lokalu. Musiano więc zwiększyć liczbę nauczycieli, a z wiosną rozpoczętą będzie budowa własnego gmachu, według skreślonego już planu. Związek wszystkich muzycznych i śpiewackich towarzystw galicyjskich, urządził pod dyrekcyą Jana Galla wielki koncert, który dowiódł, że siły chóralne są tu znakomite. Wybór prezesa i członków wydziału pozostał też na rok nowy bez zmiany.

— Pożar, który się wszczął w Zakopanem w ostatnim dniu ubiegłego miesiąca w zakładzie D-ra Piaseckiego, wybuchnął na szczęście w dzień, o godzinie trzeciej po południu. D-ra Piaseckiego nie było w domu i przebywała tam tylko żona z dziećmi; ludzie zbiegli się aby wynosić rzeczy, jakkolwiek była do dyspozycyi sikawka zakładu, oraz sikawka D-ra Chramca, sikawka zakopańskiej straży pożarnej, przecież nie użytkowano wcale z tego narzędzia ratunku z powodu braku wody w pobliżu, chociaż o pięć minut drogi saniami płynie na Krupowkach obfity potok. Dom po szybkiem spaleniu się dachu płonął powoli, bo ściany były wewnątrz i zewnątrz tynkowane, ale czynność straży ogniowej ograniczyła się do rozrywania i wynoszenia rzeczy z dołu, zostawiając piętro górne na łaskę losu. Spłonął więc cały budynek, ocalono tylko część rzeczy na dole i to tylko ratowali ludzie z klas inteligentnych, a między niemi dyrektor szkoły rzeźbiarskiej, Neużyl wraz z nauczycielami i uczniami szkoły. Mężczyzn wspomagały tu kobiety z zakładu p. Plewkiewiczówny z Poznania. Straż ogniowa hr. Zamojskiego z Kuźnic przybyła już przy końcu katastrofy, zbyt późno zawiadomiona, choć od niej można się było jedynie spodziewać skutecznej obrony.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Za cudzą winę**, przez autorkę powieści „Silny duch“. Przekład z niemieckiego ark. 2.

TREŚĆ: Kobieta w Stanach Zjednoczonych, przez Anatola Krzyżanowskiego.—**Pogawędka**, przez ??—**Bluszcz**, obrazek z życia rodziny, przez Maryana Gawalewicza (dalszy ciąg). — **Z Czech**. — **O wentylacyi mieszkań**, przez E. F. — **Kronika działalności kobiecej**. — **Z bieżącej chwili**.

Dodatek obejmuje: Za cudzą winę, powieść przez autorkę powieści „Silny duch“, przekład z niemieckiego arkusz 2.—Przegląd mód. 29 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 1 Февраля 1895 г.